



KAZIMIERZ WDZIĘCZNY

Dnia 26 marca 1946 r. Sąd Grodzki w Warszawie, oddział VI pomocy sądowej, w osobie Sędziego tegoż Sądu Bronisława Hoffmana, na żądanie Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich, Oddział Wojewódzki w Lublinie, przesłuchał niżej wymienionego, bez przysięgi. Po uprzedzeniu go o odpowiedzialności za nieprawdziwe zeznanie w myśl art. 107 kpk, świadek zeznał co następuje:

Imię i nazwisko	Kazimierz Wdzięczny
Imię ojca	Piotr
Data i miejsce urodzenia	19 stycznia 1908 r. w Warszawie
Miejsce zamieszkania	Warszawa, Bielany, [...]

Aresztowano mnie 29 września 1942 r. Do 17 stycznia 1943 r. siedziałem na Pawiaku w Warszawie. 17 stycznia przewieziony zostałem na Majdanek.

Podróż z Warszawy koszmarna. Dzień i noc w wagonach bydlęcych przy 25-stopniowym mrozie. Mówiono nam, że jedziemy na roboty. Po przybyciu do Lublina (w nocy) zostaliśmy wypędzeni z wagonów. Były trupy zamrożonych na śmierć. Otoczono nas silnym konwojem, w którym ważną rolę grały przeszkolone psy. Nieśliśmy trupy i chorych na plecach. Pędzono nas przez pola, doły i rowy wśród bicia i krzyku. Transport nasz składał się z 4,5 tys. ludzi, w tym 1,5 tys. kobiet i mniej więcej taka sama liczba ludzi złapanych w kinach, restauracjach, kawiarniach i na ulicy. Wpędzono nas na pole III, kobiety – na V. Przy wejściu kapo z pejcem kazał nam się zachować spokojnie, mówiąc, że sprawy nasze zostaną rozpatrzone i że będziemy zwolnieni. Rano wpadli kapo do baraków, w których byliśmy umieszczeni po 600 ludzi w jednym. Spaliśmy na gołej ziemi, na pokrytych szronem i lodem deskach. Spędzili nas na apel, bijąc kijami i pędząc jak bydło. Kazali nam zabrać ze sobą pierwszego trupa – [więźnia],

który zmarł w nocy, niejakiego Stanisława Gajewskiego z Warszawy – i ułożyć go w rzędzie, by mógł być wliczony do stanu liczebnego bloku. Pierwszy raz oczy nasze ujrzały obóz i to, co się w nim działo; obóz, o którym słyszeliśmy z cichych opowiadań i czytaliśmy w tajnych gazetach.

Na polu była kwarantanna. Baraki 19. i 17. były pełne chorych na tyfus, z których regularnie wybierany był kontyngent do komór gazowych. Ci, którzy kiedyś nie wierzyli w te potworności, mogli się naocznie przekonać o strasznej rzeczywistości. Na środku pola stała wielka latryna na 20 tys. ludzi, pod którą na śniegu, w trzaskającym mrozie, leżały dziesiątki zmarłych i chorych, wijących w najstraszniejszych mękach. Z bloków 17. i 19. więźniowie wynosili swych jeszcze żywych, chorych towarzyszy, których z rozkazu kapo rozbierano do naga w celu przyspieszenia ich śmierci i przygotowania ciał do załadowania na wozy odwożące trupy do krematorium. Stojąc na apelu beczynn timer, marznąc przeraźliwie (niektórzy byli w letnich ubraniach), widzieliśmy, jak wynędzniali więźniowie podjeżdżali olbrzymimi wozami, na które dwaj silniejsi wrzucali kolejno żywych i martwych. Działy się rzeczy straszne. Niektórzy chwyтали się brzegów wozu lub wysadzali głowy spod trupów, błagając o litość lub krzycząc niezrozumiałe zdania w różnych językach. Spychano ich, zasypując nowymi zwalami ciał, żywych lub umarłych. Powoli wozy odjeżdżały, ciągnięone przez szkielety bitych przez kapo więźniów. Staliśmy zmartwiali. To była rzeczywistość – chociaż zdawało się nam, że to tylko potworny koszmar, który minie. Z daleka słyhać było gwizd odjeżdżających pociągów. Tu i ówdzie z szeregów rozlegał się płacz naszych nieletnich kolegów. Najbardziej płakał Stasio Nadert, aresztowany za śpiewanie piosenek w pociągach. To był pierwszy nasz apel i pierwsze wrażenie z obozu: dzień grozy.

Wieczorem, po drugim apelu, na którym było już kilku pobitych i skopanych, nasze nadzieje na życie zaczęły powstawać na nowo: dano nam po łyku kawy i po pajdce chleba. A potem Żydzi słowaccy wnieśli koce, uśmiechając się złośliwie. Koce zostały rozdane, lecz każdy koc roił się od setek wszy. W ciemności tego nie widzieliśmy. Poczuliśmy je na sobie, kiedy ułożyliśmy się na ziemi. Koce były po więźniach zmarłych na tyfus. Jedni zaczęli je odrzucać. Cienie ubrani, drząc z zimna, bo śnieg z wiatrem przeciskał się przez szpary, chwyтали je natychmiast, ażeby ochronić się przed zimnem. W pewnej chwili do baraku weszli dwaj „starzy” więźniowie, żeby zabrać kotły po kawie. Zapytaliśmy ich o warunki życia. „Tu jest śmierć, tu jest wasz koniec” – odpowiedzieli. „Widzieliście rano. To wasz los i wszystko, co wam zostało z życia”. Podbiegł do nich jeden z więźniów i krzyknął: „Zamknij pysk! To byli Żydzi. Z nami tego nie zrobią”. „Idziemy”, odparł jeden ze „starych” więźniów. „Jutro przekonacie się, kogo będą ładować”. Wyszli. Reszta uciszyła się nagle, jak gdyby przerażona swym losem i tym, co ją czeka. Ranek potwierdził te złowrózne

krakania. Wśród rozebranych do naga chorych, wijących się na śniegu, było wielu Polaków i [osób] innych narodowości. Przydzielone koce, które wydawały się błogosławieństwem, zaczęły działać. Po tygodniu – na każdym kroku chorzy na tyfus i na zapalenie płuc.

Był głód, lecz było jeszcze „dobrze”, bo mieliśmy na sobie własne ubrania i, często, ciepłą bieliznę, lecz i temu przyszedł kres. Po dwóch tygodniach pobytu w obozie, po rannym apelu, bloki pomaszerowały do łaźni. Widzieliśmy, jak z baraków, które opuściliśmy, wynoszono nasze więzienne tobołki zawierające bieliznę i to, co rodziny dały nam na drogę. Grupami po 50 osób wpędzono [nas] do baraku *Effektenkammer*, gdzie rozebrani do naga zdawaliśmy kolejno swe ubrania. Było tak zimno, że na wąsach i brodzie więźniów osiadła gruba warstwa szronu. Przez zaspy śnieżne biegliśmy nago do łaźni. Tu trzeba było czekać pod drzwiami kilka minut, gdyż pierwsza grupa nie była jeszcze wykąpana. Byliśmy jeszcze silni. Po kąpieli w biegu łapaliśmy dawane nam pasiaki, wyskakiwaliśmy na dwór i tam naciągaliśmy zawzione cienkie koszule i porwane strzępy obozowych ubrań. Dzień, w którym się kąpałem, był bardzo zimny. Na mokrych włosach tworzyły się skorupy lodu, które staraliśmy się rozetrzeć zgrabiętymi rękami. Z kąpieli, w lichych ubraniach, stanęliśmy do apelu, który trwał 3,5 godziny. Wtedy to, stojąc (gdyż nawet uklęknąć nie było wolno), zmarł nasz kolega, 67-letni starzec, Dunin-Wąsowicz.

I tak dzień za dniem życie toczyło się dalej. Bicie, tyfus, zimno i wyczerpanie kładły na każdym apelu długie szeregi trupów. Dla chorych koledzy starali się o kawałki desek, by – kiedy już stać [taki] nie mógł i nie można go było utrzymać – nie siedział na zamrożonej ziemi lub w błocie.

Pijani SS-mani urządzali nam często wielkie kłopoty. Przyskakiwali do nas, stojących w zwartych kolumnach w błocie, bijąc nas i rozpędzając na wszystkie strony. Zostawaliśmy wtedy wszyscy bez butów (drewniaków), które zostawały w lepkim błocie. Po uspokojeniu się SS-manów wracaliśmy, by je odnaleźć, grzebiąc się w błocie. Słabsi często nie mogli znaleźć zguby i pozostawali boso. Ratowało ich to, że było dużo konających.

Po kąpieli, o której wyżej wspomniałem, przeniesiono nas, wybrawszy przedtem kilkudziesięciu rzemieślników potrzebnych do normalnego funkcjonowania obozu, na pole IV, które nazywaliśmy między sobą „polem śmierci”. Tam tyfus opanował wszystkie baraki. Dziennie było na polu 200 trupów i 200–300 zachorowań. Chorych wciągano do baraków 7. i 9., zwanych przez nas *Gammelblockami*. Tam raz na tydzień wszystkich, którzy nie zmarli, przewożono do gazkamer. Pewnego dnia silny ból głowy i dreszcze w nogach nie pozwoliły

mi stać do końca apelu. Przyklęknąłem w szeregu. Chociaż zostałem kopnięty przez kapo, nie miałem siły podnieść się ani dowlec do formującego się na robotę komanda. Komanda wyszły. Pozostałych na placu chorych w liczbie ok. 150 zaczęto pędzić i ściągać za nogi po błocie do *Gammelblocku*. Wśród tych ostatnich zauważyłem znajomych mi: Józefa Marszałka, dyrektora [Państwowego] Banku Rolnego w Warszawie, Łęckiego – młodego kompozytora, również z Warszawy, Łowieckiego – prezesa warszawskiego [oddziału] Rady Głównej Opiekuńczej, Zygmunta Krzyżanowskiego z Żoliborza, Kazimierza Łęgowskiego (a może Łągowskiego czy Łagowskiego), adwokata ze Starego Miasta i wielu innych, których nazwisk nie znam lub nie pamiętam (wszyscy, których wyżej wymieniłem, zmarli).

Wewnątrz bloku, który miał dziurawy dach, pełno było błota, śniegu i kału. Wśród tego, na gołej ziemi, wiły się dziesiątki żyjących jeszcze więźniów. Pod ścianą w porządku apelowym – plon zeszłej nocy: cztery rzędy trupów. Po pewnym czasie zaczęto je ładować na wozy.

Bezsilny pełzam wśród chorych, szukając czystszej miejsca, na którym mam umrzeć jak zwierzę. Język mam suchy jak wiór, lecz na polu IV wody nie ma nawet dla tych, co pracują. Najdelikatniej zgarnięty śnieg jest pomieszany z kałem, którego tu wszędzie pełno. Nawet w tej ostatniej godzinie życie jest ciężkie. Przytulam się do trzeciego już więźnia z kolei, lecz każdy z nich po chwili stygnie. Jest mi zimno, chociaż śnieg, który pada na mnie, momentalnie topnieje. Nie rozumiem, za co jestem tak ciężko skarany, dlaczego umrzeć nie mogę, kiedy innym przychodzi to tak łatwo. Jest środa. Czyż mam zostać rekordzistą i doczekać soboty, by być uduszony gazem. Tego nie chcę. To za długo. Może wcześniej umrę, usnę na zawsze. Całą duszą pragnę śmierci, snu, ciszy. Wszystko, co pozostało na świecie, jest nierealne – o tym nie myślę. Myślę o śmierci, pragnę jej, a ona nie przychodzi.

W nocy, wśród jęków, po omacku, znowu szukam żyjących, by ogrzać przy nich drżące febrycznie ciało. Modlitwy, których nauczyła [mnie] matka, nie chcą wyjść przez usta. Nie to, co ja cierpię, lecz krzyk rozpaczliwe konających, jest nie do zniesienia. To *Gammelblock* – koszmar.

Czwartek rano. Wciągają nowych. Witam znajomych milczeniem. I oni milczą. Tu już nikt nie mówi, nie rozmawia. Tu tylko półobłąkane myśli szturmują mózg. Myślą rozmawia się z nieobecnymi. Jeden szeptem żegna kogoś nieobecnego. Drugi przeklina tych, co go sprzedali. Ciągłe leżę i czekam, i przychodzi mi myśl [do głowy], że fantazja Dantego była niczym w porównaniu z rzeczywistością. Nie miał podstaw do stworzenia piekła. Brakło mu Majdanka i innych obozów.

Nie. Tak dłużej być nie może. I do mnie musi przyjść „szczęście”, i ja muszę doczekać wymarzonego raju, ciszy i spokoju, gdzie nie ma katów i tych okropności, szpecących, zohydzających świat. Nawet na matkę moją cisną [mi] się do ust klątwy, chociaż była mi świętą. Jest gorzej, bo czuję się lepiej. Jestem zdrowszy – dłużej przeciągnie się męka, do soboty. Czemu odczuwam to wszystko tak wyraźnie, czemu nie jestem bezmyślnym bydlęciem, które tępo wyczekuje swego przeznaczenia?

Zbieram resztki sił. Szukam wśród trupów rzeczy, która może mi się przydać. Jest to długi pasek, który wiążę razem ze swoim. Chwiejąc się i padając kilkakrotnie, z całą świadomością tego, co czynię, stoję na latrynowej skrzyni. Spokojnie, dokładnie i bez wzruszenia szykuję sobie pętlę, która uwolni mnie od życia, od wrzucenia na samochód żywcem, od komory gazowej. Z myślą o matce zeskakuję w dół. Lecz zły los chce inaczej. Jeden pasek, słabszy, pęka. Idę szukać nowego, chociaż jestem śmiertelnie znużony. Wszystkie obszukiwane trupy wyglądają tak, jakby i na tamtym świecie było źle. Zaczyna mnie ogarniać wzruszenie i myśl o życiu, instynkt samozachowawczy. Nie, to wszystko słabość. Znajduję kawałek grubego kabla. Łączę go z paskiem i teraz już naprawdę uciekam od życia. Jakieś gwiazdy w oczach, ognie i wielki szum w uszach, niby szum morza. To wszystko, co pamiętam.

Otwieram oczy. I znów jestem w *Gammelblocku*. Nade mną stoi Stefan Frydeberg z Warszawy, kolega mój z Pawiaka. Pyta: „Czyś ty zgłupiał? Czemu jesteś taki słaby? Czemu się załamujesz? Już pół godziny staram się wrócić cię z tamtego świata”. Patrzę dziko i mam wielki żal do niego. „Stefan, po coś to zrobił? Ja mam tyfus. Byłbym już teraz spokojny, a Ty pchasz mnie do gazkamery”. „Ty masz tyfus? Nie wiedziałem. Myślałem, żeś zwariował. To szkoda. Wieszaj się jeszcze raz. Już cię nie ruszę. Chociaż i komora gazowa nie taka straszna. Straszna tylko dla tchórzy. Czy prędzej, czy później pójdziemy tam wszyscy. Trzymaj się jeszcze te parę godzin, dopóki cię nie zabiorą. Chcesz pić? Śniegu czystego nie ma nigdzie. Może ci jutro podam kawy. Ale wiesz co – czy ty naprawdę zupełnie nie możesz chodzić? Jerzy Norton z tyfusem chodzi do pracy. Spróbuj. Ja cię stąd wyciągnę. Jeżeli nie będziesz mógł iść, wrócisz tu znowu. Jutro jest piątek, w sobotę będzie z tobą koniec. Dla ciebie zrobię wszystko. Weźmiesz kibel i pójdziesz jako mój pomagier. Dam parę fajek. Wpuści cię. Na polu pełno chorych. Sami tu przyjdą, bo nie mają sił do pracy. [Niemcy] nie zauważą, żeś ubył. Tylko się nie kładź na apelu, niech cię podtrzymują. Jeżeli będzie apel niedługi – twoje szczęście. Jutro może ci już być lepiej”.

Nazajutrz rano był dziwny dzień. Komanda zawrócono od bramy. Rozeszła się wieść, że odejdzie transport. Gdziekolwiek jechać, gdziekolwiek, byleby wyjść z tego miejsca. Nikt nie wiedział, że jeżeli wyjdzie, to do takiego samego piekła jak to, które opuścił. Lecz nadzieja zaczęła błędzić po rozpalonych tyfusową gorączką głowach. Plotka puszczone przez SS-manów obiega pole: „Transport jedzie na wolne roboty”. To dlatego, żeby więźniowie nie uciekali.

Zaczęła się ohydna komedia poszukiwania fachowców. Najpierw wywołano szwajcarów – do krów. Do tego zawodu przyznało się niemal całe pole, w nadziei, że skosztują chociaż kroplę – może kiedy wzgardzonego – mleka. Widziałem staruszkę nazwiskiem Konecki, z Warszawy, byłego długoletniego dyrektora Instytutu Meteorologicznego w Yokohamie w Japonii, którego dotkliwie pobił SS-man, wypędzając go z grupy szwajcarów. Za stary.

Kolejno tworzyły się grupy różnych zawodów, do których zgłaszali się więźniowie, łudząc się nadzieją ratunku. Wywołali zdunów. Chwiejąc się, wyszedłem naprzód. Frydeberg i Józef Kowalski – *Lagerältester* polecili mnie jako dobrego rzemieślnika. Jeden z SS-manów, przezwiskiem Jastrząb, węsząc we mnie trupa, krzyknął: „Du bist krank! Zum Gammelblock!”. Drugi kazał mi przebiec kawałek. Biegłem, płacząc się, ostatnim wysiłkiem. Za mną skoczył Jastrząb, [ale] w tej [samej] chwili zauważył więźnia, który nie miał naszytego numeru. Zaczął go katować. Skorzystałem z tego i stanąłem w grupie przeznaczonej do transportu.

Opuściliśmy pole IV, „pole śmierci”. Szliśmy, bici i popychani, w stronę łaźni. Zanurzyłem się w wannie napełnionej roztworem Kuprexu. Spragniony piłem wstrętną wodę. Kapo to zauważył i kopnął mnie dwa razy w brzuch, co przyczyniło się do zwrócenia przeze mnie całej zawartości żołądka. Otwartymi ustami chwytałem padające z pryszniców krople wody. Czyniło to wielu więźniów. Na pewno nawet na Saharze nie ma takiego pragnienia, jakie [było] tam w obozie. (Transport poszedł na zniszczenie do Flossenbürga. Żaden z fachowców nie został wykorzystany do obiecaney pracy. Połowa zmarła w wagonach, w ciągu długiej, dwutygodniowej podróży – na skutek gorączki tyfusowej. Resztę zniszczono w Flossenbürgu, kąpiąc i długo trzymając na apelach. Z 2200 [więźniów] spotkaliśmy w 1944 r. w Groß-Rosen tylko nieliczne jednostki).

Z łaźni zaprowadzono nas na pole III, skąd miał odejść wyżej wymieniony transport. Chorych, którzy się przewracali, m.in. i mnie, wpędzano do pustego baraku 6. Rozebrano nas z ubrań, które były potrzebne do skompletowania ubrań transportu.

Znów byłem w baraku między konającymi. Lecz instynkt życia panował w tamtej chwili we mnie, mimo że 42-stopniowa gorączka mnie spalała. Był to koniec marca 1943 r. Pole III było polem komand budujących *Wachbatalion*. Wiedziałem, że dla podniesienia wydajności pracy nie zabierano chorych do gazkamer. Umierali oni w baraku na rewirze. Zacząłem walczyć o życie. Nie do pomyślenia było powtórzenie tego, co chciałem uczynić ze sobą dwa dni temu. Dziwna jest psychika człowieka. Na współtowarzyszy patrzyłem złym okiem – może który skona. Mógłbym zabrać mu koszulę, by się okryć, bo zimno było niewypowiedziane. Ale wszyscy żyli. Kiedy chciałem zdjąć koszulę jednemu z więźniów, który konał, ten nagle chwycił mnie za gardło, chcąc udusić. Zacząłem z nim walczyć. Skonał niedługo. Koszulę zdjąłem. Było mi trochę cieplej. Koło północy miałem już kilka koszul i jakoś doczekałem do rana. Rano na apelu zjawił się kolega partyjny Stefan Zaborowski, dał mi koc i pobiegł, żeby przynieść mi kawy (pracował w kuchni). Całowałem go po rękach. Później prosił funkcyjnych Rosjan, żeby nie wlekli mnie na rewir, ale zanieśli.

Po trzech dniach pobytu na polu III wszystkich chorych na tyfus (280 ludzi) przesłano na pole I. Szliśmy boso, w koszulach, brnąc w śniegu. Droga ułtana była dogorywającymi. Chorzy ciągnęli jeden drugiego. Tym, którzy upadli na śnieg, zabierano koce. Na polu I przed ambulansem stanęliśmy w szeregach, czekając aż *Leichenträgerzy* poznoszą martwych i żywych, pozostałych na drodze, by zgadzała się liczba, którą pole III przekazywało polu I. Trwało to wszystko ok. 4 godzin. Z 280 ludzi po kilku dniach zostało 70.

Na polu I w bloku 8. zetknąłem się z Paulem Hoffmannem oraz naczelnikiem wydziału straceń Muhsfeldtem. Przychodzili oni razem z Thumannem, żeby przeprowadzić selekcję, która odbywała się co tydzień. Ci, którzy mogli, stawali w szeregach sami. Innych, żywych i umarłych, ściągano na apel. Thumann chodził ze swoim psem, wilczurem. Psa tego nazywaliśmy „naczelnym lekarzem”, gdyż często on właśnie decydował o życiu lub śmierci człowieka. Kiedy pies zawarczał bez powodu na jakiegoś więźnia, człowiek ten zostawał przez Thumanna natychmiast skazany na śmierć. Thumann, chodząc w milczeniu przed szeregami, wskazywał pejczem więźniów, czasami pięciu z kolei, czasami wybierał z różnych części szeregów. Nie wiadomo było, jak stanąć, by się od tego uchronić. Wskazani pejczem szli do gazkamer. W czasie jednej selekcji, koło 15 maja 1943 r., wybrał z szeregu i zbił pejczem więźnia nazwiskiem Hering – działacza politycznego z Warszawy, kalekę, który chodził zgięty pod kątem 75° – za to, że spojrzał na niego „mściwie” (Hering został zagazowany). Tu, na rewirze, zetknąłem się z cywilnym robotnikiem z Warszawy, Wiktorem Betlewskim (zginął

w Oranienburgu), przez którego skontaktowałem się z rodziną i otrzymałem pomoc (oficjalnie pisać nie mieliśmy prawa do sierpnia 1943 r.). Dzięki jego pomocy z [wagi] 27 kg po tyfusie doszedłem do 55 kg.

Jeszcze słabego wcielono mnie do komanda *Leichenträgerów*, którego zadaniem było odnoszenie trupów do starego krematorium. Przy dużych liczbach transportów zagazowanych pomagaliśmy także przy rozładowaniu gazkamer. Pracowałem przy tym sześć tygodni. Tu miałem możliwość zetknięcia się bezpośrednio z największymi przykładami okrucieństwa SS-manów.

Pod koniec maja, niosąc trupa do starego krematorium, widziałem jak przed nami z Pola Róż na tragach do noszenia trawy dwóch więźniów pod eskortą SS-mana nazwiskiem Grohmann niosło płaczącą kobietę całą we krwi. Kobieta ta, niezwyklej urody, porodziła przed godziną dziecko, które trzymała na ręku. Dziecko nie było obmyte, całe oblepione krwią. Kobieta przyciskała je do siebie, szlochając. Było rano i przed krematorium było jeszcze cicho. Postawiono ją z tragami w pobliżu okien. Ranek był piękny. Wszystko pokryte było srebrzystymi odbłaskami rosy. Słońce padało na twarz kobiety i ozłacało ją. Robiła ona wrażenie Matki Boskiej. Mimo bólu miała jakiś dziwny uśmiech macierzyństwa, bodajże szczęścia. Nie wiedziała, co ją czeka. Przyjechała z *Zugangiem*, nie przeszła jeszcze przez obóz. Poród zastał ją na Polu Róż, gdzie transport nocował. Biegiem prawie przelecieliśmy z trupem koło niej. Spojrzała w naszą stronę, może spodziewając się lekarza. Gdy weszliśmy do środka, Grohmann wyszedł z kapo Hoffmannem, który wyrwał kobiecie dziecko i wrzucił przez okno do krematorium. Rozpaczliwy krzyk kobiety zagłuszył uderzeniami pałki. A dzień w dalszym ciągu był piękny.

17 marca 1944 r. widziałem, jak z pola I SS-manka przezwiskiem [...] prowadziła dwie kobiety. Młodsza z nich była żoną mieszkańca Lublina siedzącego na polu III. Kobiety szły spokojnie obok wszystkich pól. Przed polem V, myśląc, że idą do pracy, chciały wejść w bramę. SS-manka kazała iść dalej. Gdy minęła bramę, starsza z prowadzonych kobiet, domyślając się może, że idą do krematorium, zaczęła płakać. Młodsza zaś, dostała ataku szału. Niespodziewanie rzuciła się na SS-mankę, chwytając za rewolwer. Zaczęła się szarpanina. W pewnej chwili SS-mance udało się przerzucić rewolwer za druty, a widząc wściekłość kobiety, zaczęła uciekać. Nadjeżdżający konno Thumann, który obserwował całe zajście z daleka, poszczuł psa na młodszą z kobiet, która również w pewnej chwili rzuciła się do ucieczki. Ucieczka była niemożliwa – ze wszystkich stron druty. Pies dopadł

ofiary w jednej chwili i powalił ją na ziemię. Z *Blockhausu* wyskoczyli SS-mani i jednocześnie odezwała się syrena alarmowa. Schwymano kobietę i zaniesiono ją do budki strażniczej, gdzie bito ją pejcami, aż do czasu, gdy nadjechał samochód z czerwonym krzyżem, do którego wsadzono gwałtem obie kobiety i drogą okrężną, naokoło, zawieziono je do krematorium. Tu wyszedł Hoffmann i opierającą się młodszą z kobiet wciągnął do hali z piecami. Druga weszła sama. Obu kazał się rozebrać i złożyć ubrania. Starsza, popłakując, wykonała rozkaz. Uderzona pałką w tył głowy, prawdopodobnie w stanie omdlenia, wrzucona została do pieca. Młodsza nie chciała się rozebrać. Zaczęto ją szarpać i bić, przewracając na ziemię. Z rozkazu Thumanna zwrócił się do niej Hoffmann, oświadczając, że jeżeli dobrowolnie nie rozbierze się i nie zda ubrania – zostanie spalona żywcem. I tym razem odmówiła, płacząc histerycznie, prosząc i grożąc zemstą wojsk sowieckich. Na dany przez Thumanna znak, Hoffmann krzyknął: „Raus!”. Podbiegło czterech palaczy, chwycili kobietę i wrzucili żywcem do rozpalonego pieca wśród przeraźliwych krzyków ofiary.

25 lipca 1943 r. z rozkazu komendanta obozu Thumanna postanowiono, by dzieci pochodzące ze spacyfikowanych terenów [powiatu] hrubieszowskiego i Zamojszczyzny zagazować, a matki wysłać do pracy w Niemczech. Poprzednio rozpuszczono fałszywe pogłoski, że dzieci zostaną oddane pod opiekę Czerwonego Krzyża, do żłobków i ogródków jordanowskich, lecz prawda wyszła na jaw. Gdy podjechały samochody, by zabrać dzieci, matki, przeczuwając, co je czeka, nie pozwalały na ich zabranie. SS-mani i SS-manki za pośrednictwem *Dolmetscherów* [tłumaczy] uspokajali i namawiali do oddania [dzieci]. Gdy namowy zawiodły, zaczęto je siłą zabierać, wrzucać i wsadzać do samochodu. Na polu powstał płacz i lament. Oszałałe z rozpacz matki uciekały z dziećmi. SS-mani i kapo wyłapywali je. Widziałem Hoffmanna w mundurze SS, jak szarpał się z jedną wieśniaczką, która mocno trzymała niemowlę, nie chcąc go oddać. Była to młoda i dobrze zbudowana kobieta. Widziałem, jak w pewnej chwili Hoffmann wyrwał dziecko i zakrwawione, martwe już zapewne ciało wrzucił do samochodu. Patrzyłem z pewnej odległości i zdawało mi się, że główka dziecka została w rękach matki. Może się mylę, mogłem ulec halucynacji. Wiem, że Hoffmann stawał w drzwiach krematorium i przechodząc dzieci zwabiał do siebie cukierkami i lalkami. Tam je zabijał i palił.

Jeszcze jeden charakterystyczny wypadek utkwił mi w pamięci. Było to w sierpniu 1943 r. Siedziałem wtedy na polu IV w bloku 6. Przywieziono z okolic Stanisławowa transport, w którym byli m.in. dwaj Badacze Pisma Świętego czy też baptyści. Przydzieleni zostali na blok 6. Blokowym był Leon Weiman. Na wieczornym apelu wszyscy musieli się stawić z numerami

i winklami oznaczającymi charakter ich przestępstwa. Badacze nie wykonali polecenia, za co otrzymali od blokowego przepisowe 25 uderzeń, z uwagą, że na rano winkle i numery muszą być naszyte. Mimo otrzymanych batów i bólu obaj odmówili wykonania rozkazu. Blokowy zagroził im zameldowaniem do *Lagerältestera* Lipińskiego, co po ich zdecydowanym uporze uczynił. O 10.00 wieczorem przyszedł na blok Lipiński (Niemiec) ze swoim przybocznym oprawcą, Wojtkiem Sznajderowiczem. [Osadzeni na] bloku byli według przepisu na pryczach. Paliła się tylko jedna osłonięta lampa, pod którą na stołku zasiadł Lipiński. Kazał przyprowadzić do siebie oskarżonych, których zapytał, czemu są takimi warchołami i nie chcą wykonać polecenia obowiązującego cały obóz. „Bóg nam tego zabrania” – odpowiedzieli obaj. „To co każecie nam przyszyć, to znamię diabła, który znaczy w ten sposób ludzi mających iść do piekła”. Lipiński zerwał się z miejsca, złapał stołek i zawołał: „Kto, Bóg? Ty mówisz o Bogu? Tysiące i miliony zniszczonych, cierpienia wszędzie – to ma być dziełem Boga? Ohydna prostytutka miałaby więcej litości niż Bóg, o którym mówisz. Przyszedłeś oszukiwać nas swoim Bogiem, w którego imieniu prowadzona jest wojna i zakładane [są] takie obozy. Tu mówisz o Bogu, gdzie wszyscy wiemy, że Go nie ma. Osłaniając się nim, występujecie przeciwko porządkowi. I czy ty sam w niego wierzysz?”. „Tak, panie, wierzymy w Niego i spełniamy Jego przykazania”. „I co, myślisz, że ten Bóg cię obroni? Więc co, przyznajcie się, że to jest wasza spekulacja, że chcecie się zastronić przed przepisami. Przyszyjecie winkle czy nie?”. Na odpowiedź przeczącą Lipiński rzucił w badaczy stołkiem, a Wojtek począł ich bić pałką. Kiedy leżeli na podłodze zakrwawieni, zażądano od nich jeszcze raz wyparcia się Boga. Jeden z nich się Go wyparł. Drugi błagał o litość, ale ciągle twierdził, że Bóg istnieje. Zakatowano go na śmierć. Pierwszy również zmarł z pobicia po paru dniach. W pewnej chwili Sznajderowicz zwrócił się do wszystkich więźniów, będących na bloku, mówiąc: „Wyrzeknijcie się waszego z..... Boga. *Lagerältester* jest dobrym ojcem, wszystko wam przebaczy”. Trudno mi w tej chwili odtworzyć całą potworność tego „sądu”. Kiedyś podam jeszcze dokładne szczegóły.

Na Majdanku siedziałem do 6 kwietnia 1944 r. Następnie [zostałem] wywieziony do Gross-Rosen, a następnie do [podobozu] Leitmeritz, komando B5, [w obozie] Flossenbürg. Uciekłem w czasie ewakuacji na Zachód.

Identyczne zeznanie złożyłem 14 listopada 1945 r. przed Stanisławem Brodziakiem, kierownikiem Wydziału Muzeum Informacji i Propagandy Państwowego Muzeum na Majdanku.

Odczytano.